

Kaleta, Jerzy

Utrato, ty moja Utrato : cz. III - dokończenie

Przegląd Pruszkowski nr 1, 62-95

1988

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Utrato, ty moja Utrato

cz. III — Dokończenie

„BABSKI DOŁEK”, ROWEK I ŹRÓDEŁKA

Dawniej za stawidłem w parku Potulickich, zwanym popularnie przez młodzież upustem, co właściwie ma to samo znaczenie. Utrata skręcała ostrym łukiem ku północy, by po kilkudziesięciu metrach zmienić kierunek i skręcić na zachód. Dalej płynęła już prosto, aż do mostu kolejowego. Na tym drugim zakręcie nurt rzeczny przegrodzony był drutem kolczastym, bo tu kończyła się prywatna posiadłość Potulickich. Drut skutecznie zapobiegał, aby niepowołane osoby nie mogły przejść do prywatnego parku. Za przegrodą, od strony wolnodostępnej, woda była dosyć głęboka, co pozwalało nawet na pływanie w ograniczonym zasięgu. Wielu mieszkańców miasta ściągało w to miejsce na niedzielny letni wypoczynek. Dzieciarnia na płytszej wodzie wprost szalała z uciechy. Miejsce to do kąpieli w rzece zwane było potocznie „Babskim Dołkiem”.



Uroczyste przecięcie wstęgi na mostku na Utracie nad dawnym „Babskim Dołkiem”

Kilkadziesiąt metrów w dół rzeki od „Babskiego Dołka” wpadał do Utraty mały ciek wodny, płynący gdzieś od Michałowic. Struga ta przepływała obok boiska piłkarskiego i miała dwie zasadnicze cechy: woda jej była bardzo zimna i bardzo czysta. Popularnie ciek ten nazywano „Rowkiem”. Dziś nie ma już „Babskiego Dołka” do kąpania. Rzeka została uregulowana i wyprostowano jej koryto. Pobliska łąka jest terenem nowych boisk piłkarskich. Pozostał jednak „Rowek”, płynie skrytym kanałem pod płytą boiska piłkarskiego. Pozostał, ale jaki jest teraz?

Warto poświęcić trochę uwagi wspomnianemu „Rowkowi”, bo jest to ewenement w miejscowej gospodarce wodnej naszego miasta i okolic. Choć skryty pod ziemią w ostatecznej fazie swej drogi do Utraty, jest jeszcze widoczny na łuku nowej szosy z Warszawy do Skierniewic w okolicy Tworek. Nie jest to struga z czystą, zimną wodą. Skromnie określając, jest to obrzydliwy, cuchnący rów kloaczny, którym płyną nieczystości z Piastowa Południowego i jego okolic. Fetor, jaki latem bije z tego rowka, jest nie do wytrzymania. Nic dziwnego, że w Utracie ma teraz kolor bajecznie tęczy, a więc nie przypomina zwykłej rzecznej wody. Ogromny ładunek stężonych zanieczyszczeń „wzbogacający” wodę Utraty musiał spowodować, że i ona stała się również kanałem ściekowym. Tym razem Utrata nie utraciła a zyskała... nadmiar smrodu i zanieczyszczeń.

Dawniej rowek w końcowej fazie płynął trochę w innym miejscu. Jego ostatni zakręt wypadał u zbiegu ulicy Topolowej. Tam, z dosyć wysokiej skarpy, wypływało znane w Pruszkowie źródło. Błaznany kubek na łańcuszku pozwalał na zaczerpnięcie wody ze źródła i ugaszenie pragnienia czystą, smaczną wodą. Największymi amatorami picia tej wody, szczególnie latem, byli uczniowie dwóch pobliskich szkół powszechnych, tj. Szkoły im. St. Żółkiewskiego i Szkoły im. J. Piłsudskiego. Również okoliczni mieszkańcy chętnie korzystali z tej wody do domowego spożycia.

Zbudowanie nowej szosy Warszawa—Skierniewice doprowadziło do bezpowrotnej likwidacji źródła. A szkoda! W dobie ogólnego odczuwania braku dobrej, czystej wody, takie naturalne ujęcie na pewno przydałoby się obecnie.

Skoro zacząłem pisać o źródłkach na terenie naszego miasta, to wspomnę jeszcze o dwóch dalszych. Następne źródło, też niedaleko rzeki, znajdowało się przy obecnej ulicy Różanej. Wypływało z boku rowu odwadniającego, na wysokości obecnego domu pod nr. 4. Można się było tam napić prawdziwie czystej źródlanej wody. Panowała opinia wśród miesz-

kańców naszego miasta, że woda z tego źródła wpływała dodatnio na cerę, jeśli się myło w niej twarz. Pamiętam, gdy byłem małym chłopcem, moja ciotka (wówczas dorosła panna) przychodziła z bańką po wodę do źródelka. Cudowną wodą myła w domu swą twarz. Na ile rzeczywiście woda ta była skuteczna dla podniesienia kobiecej urody, tego nie pamiętam, może jednak dała efekty, bo ciotka wyszła za męża. Wiem natomiast, że bardzo nam smakowała, gdy jako uczniowie Szkoły Powszechnej im. T. Kościuszki, po zajęciach gimnastycznych biegliśmy na ulicę Różaną, aby ugasić pragnienie.

Wiele też osób, nawet z odległych ulic miasta, przychodziło z bańkami, aby zaczerpnąć tej wody dla celów gospodarczych. Ponoć herbata z tej wody miała niepowtarzalny smak. Dziś też by się przydała taka woda. Obecna, ta z kranów, zbyt mocno zalatuje chlorem i psuje smak herbaty, szczególnie osobom wrażliwym na zapach i smak tego pierwiastka. Taki sam smak, jak woda ze źródelka, miała woda w studni kręgowej na posesji pod nr 9 vis a vis źródelka.

To są wspomnienia, a realia? Realia jak zwykle prozaiczne. Pod koniec lat trzydziestych naszego stulecia, przy porządkowaniu ulicy Różanej, źródelko zasypano. Tym samym przestało istnieć jeszcze jedno miejsce dobrej, darmowej wody do picia. Utraciliśmy źródelko, co można jeszcze przeboleć, ale w międzyczasie utraciliśmy też czystą wodę w Utracie, a to trzeba zaliczyć do rzeczy groźnych i tragicznych. Nazwa rzeki „Utrata” potwierdza swoją zasadność. Jest to największa utrata ze wszystkich utrat, jakie ją spotkały. Uratciła z tego powodu nie tylko ryby i raki, ale też i żaby. Cóż więcej jeszcze może utracić?

Za moich młodych lat było jeszcze trzecie źródelko w pobliżu rzeki. Znajdowało się prawie na peryferiach miasta, a mianowicie na łące za murem cmentarza grzebalnego kościoła żbikowskiego. Czy jeszcze tam istnieje, tego nie wiem. Zbyt długo nie penetrowałem tego terenu, przez kilkanaście lat mogło się dużo zmienić. Mogła się po prostu wyczerpać żyła wodna, tym bardziej, że tamtejszy rejon został poprzecinany głębokimi wykopami pod kolektory prowadzące ścieki do pobliskiej oczyszczalni. Prowadzenie wykopów w rejonie Żbikowa doprowadziło do tego, że wiele lokalnych studni w tej dzielnicy wyschło z powodu ciągłego wypompowywania wody z wykopów przed układaniem rur kolektorów.

Zastanawiam się jednak, czy gdyby źródelka te przetrwały do dziś, to w dalszym ciągu miałyby dobrą wodę do picia? A może zwiększające się z każdym rokiem skażenie terenu odbijałoby się również i na wodzie ze źródłek? Decydujący głos

w tej sprawie miałby „Sanepid”, który mógłby stwierdzić, że woda ze źródełek nie nadaje się do picia, bo jest zanieczyszczona i szkodliwa dla zdrowia ludzkiego. Myślę, że takie ostrzeżenie nie powstrzymałoby ludzi od jej picia, przecież stwierdzono jednoznacznie, że palenie papierosów szkodzi bardzo zdrowiu ludzkiemu. I co? I nic! Groźby groźbami, a ludzie palą coraz więcej. Dlatego też sprawę źródełek na terenie naszego miasta proponuję zostawić jako wspomnienie — były i zginęły bezpowrotnie.

KASA CHORYCH, ŁAZNIA I WENECJA

W pamięci starszych wiekiem pruszkowian utrwalił się widok przysadzistego, parterowego, murowanego budynku z rzędem okien. Budynek ten stał na prawym brzegu rzeki zaraz za mostem na ul. B. Prusa. Formalnie budynek ten przynależny był do ul. Nadrzecznej, która w istocie nie istniała, jako ulica. Była to po prostu ścieżka dla pieszych nad brzegiem rzeki. Były tu dwa domy mieszkalne, więc z konieczności musiano dać nazwę nieistniejącej ulicy, aby Poczta mogła doręczać mieszkańcom przesyłki.

W budynku, o którym wspomniałem, przed I wojną światową i w początkach lat międzywojennych, mieściła się Kasa Chorych. Dla młodych mieszkańców podaję, że dawniejsza Kasa Chorych jest odpowiednikiem późniejszej Ubezpieczalni Społecznej, a obecnie Zakładem Opieki Zdrowotnej, popularnego ZOZ-u. Kasę Chorych z tego budynku przeniesiono później do dwupiętrowej kamienicy przy ul. B. Prusa, o której wcześniej wspomniałem. Po byłej Kasie Chorych w budynku nadrzecznym przeprowadzono odpowiednią adaptację i otworzono prywatną łaźnię publiczną. Właścicielem łaźni byli pp. Krupińscy. Pamiętam tę łaźnię, bo chodziłem czasami do niej z ojcem kąpać się, gdyż mieszkanie nasze, jak zdecydowana większość mieszkań w Pruszkowie, nie było wyposażone w wannę i bieżącą wodę. Wystarczy dodać, że np. w roku 1931 w Pruszkowie na ogólną ilość 1459 budynków mieszkalnych, tylko 54 budynki były wyposażone w wodociąg, kanalizację i elektryczność, co stanowiło 3,7⁰/₀ ogółu budynków. Kanalizację i elektryczność miało 39 budynków (2,6⁰/₀), wodociąg i elektryczność miało 12 budynków (0,8⁰/₀). Budynków, które w tym czasie wyposażone były tylko w elektryczność — było 805, co stanowiło 55,1⁰/₀ ogółu budynków. Pozostałe budynki były niezelektryfikowane ¹.

To była smutna rzeczywistość — dlatego istnienie takiej łaźni dla mieszkańców miasta było potrzebne. Łaźnia szczególnie

przed zbliżającymi się świętami była oblegana przez klientów. Nieraz trzeba było czekać po kilka godzin na swoją kolejkę.

Po likwidacji łaźni, która nastąpiła po wyzwoleniu, budynek znalazł innych użytkowników. Narożne pomieszczenie od strony mostu było szatnią piłkarzy Klubu Sportowego „Znicz”. Zawodnicy drużyn, które miały rozegrać mecz na boisku po drugiej stronie ulicy, wybiegali z szatni i wśród szpaleru zawsze ciekawskich kibiców udawali się na boisko. Nie było szatni pod trybunami, bo nie było i trybun prawdziwych. Byli za to wierni kibice. Na mecze piłkarskie „Znicza” przychodziło ponad 1000 osób jednorazowo, bywało ich i 2000 albo i więcej. W końcu roku 1981 byłem przypadkiem na pewnym zebraniu poświęconym pomocy finansowej zakładów pracy dla Międzyzakładowego Klubu Sportowego „Znicz” w Pruszkowie. Ustalono, ile zakłady pracy mogą wyasygnować ze swojej kasy, aby Klub mógł egzystować. Zapytałem działaczy Klubu, ile drużyna piłkarska rozegrała spotkań na swoim boisku w ciągu ostatniego roku i ile przyszło osób na te mecze, wykupując bilet wstępu. Okazało się, że meczów rozegrano 16, a widzów było ok. 1600, czyli przeciętnie 100 osób na meczu. Ech, łaża się w oku kręci, gdy wspomnę tamte czasy, gdy po zakończonym meczu rzeka kibiców ciągnęła ulicą Bolesława Prusa w stronę Śródmieścia. Samochody musiały przystawać, bo tłumy kibiców ciągnęły nie tylko chodnikami, ale i jezdnią, bo na chodnikach nie mogły się pomieścić.

Gdy piłkarze zdobyli na szatnię lepszy lokal w Domu Kultury Kolejarza, poprzedni lokal zajął na swój warsztat tapicer, który utrzymał się w tym lokalu przez wiele lat. Pozostałe pomieszczenia po łaźni przerobiono i urządzono hotel robotniczy. Po likwidacji hotelu obiekt przejęła Pruszkowska Spółdzielnia Spożywców „Społem”, która w roku 1960 założyła tam swój magazyn warzyw i owoców. Dom uległ ostatecznej likwidacji około 1975 r., z tym, że w latach powojennych należał do ulicy Stalingradzkiej pod nr. 1 (obecnie ul. Bohaterów Warszawy).

Za budynkiem łaźni, w stronę mostu kolejowego, stał nad brzegiem rzeki drugi dom. Był to drewniany budynek mieszkalny pod nr. 6 wspomnianej ul. Nadrzeczej. Dom zamieszkiwały trzy rodziny. Mieszkańcy tego domu, jak i ci z budynku łaźni, często przeżywali wiosną trudne chwile, wtedy bowiem następował gwałtowny przybór wody w Utracie. Powódź odcinała mieszkańców na dwa lub trzy dni od świata. Kolega mój, który kiedyś mieszkał w tym hotelu robotniczym, w czasie pewnej powodzi przez trzy dni nie mógł iść do pracy, bo budynek był kompletnie odcięty od ulicy. W takich wypadkach ekipa przeciwpowodziowa dostarczała mieszkańcom zalanych budyn-

ków pożywienie i wodę do picia. Oczywiście powodzie takie niosły ze sobą zniszczenie dobytków we wspomnianych domach, zalewając piwnice i topiąc w nich wszystko, co było. Bywało też, że woda przy wyjątkowo wysokim stanie wdzierała się do mieszkań. Życie powracało do normy po kilku dniach, gdy woda opadła.

Pamiętam też, że w czasie większych powodzi woda podchodziła aż pod domy przy obecnej ulicy Majowej. Łąka, na której było boisko piłkarskie Klubu Sportowego „Kolejarz”, stała się jednym wielkim jeziorem.

Z gwałtownymi wiosennymi przyborami wody w Utracie pozostało mi w pamięci z okresu młodości wesołe zdarzenie. Było to wiosną roku 1938 lub 39. Ciekawi widoku wezbranej rzeki pobeśliśmy ze szkoły do Anielina. Wśród nas, chłopców, były też trzy dziewczynki, które raczej trzymały się od nas z daleka. Weszły one na cypel porośnięty drzewami i zafascynowane powodzią patrzyły na spienione wody Utraty. Trwało to jakiś czas. Gdy miały już dość patrzenia, postanowiły opuścić stanowisko obserwacyjne. Wówczas okazało się to rzeczą niemożliwą, bo woda w międzyczasie tak szybko podniosła swój poziom, że znalazły się po prostu na wyspie. Poczęły głośno płakać (jak to dziewczyny!), dopiero któryś z kolegów rozebrał się z butów i spodni, i poprzemógł je przez rozlaną wodę na suchsze miejsce. Mała przygoda skończyła się dla nich szczęśliwie. Powyższe zdarzenie uzmysławia jednak nam, jak szybko podnosił się poziom wody w Utracie w czasie powodzi.

Drewniany dom przy dawnej ul. Nadrzecznej rozebrany został w tym samym czasie, co budynek dawnej łaźni. W ostatnich latach domy te były zabezpieczone przed wylewami. Przyczyniła się do tego regulacja rzeki i znaczne podwyższenie jej brzegów. Regulacja rzeki była zakończeniem prac budowy wiaduktu drogowego nad torami PKP. Prace przy budowie wiaduktu rozpoczęto już w roku 1959. Sam wiadukt ukończono w roku 1962. Pozwolił on na bezkolizyjne przemieszczanie się pojazdów ponad torami PKP. Zlikwidowany został przejazd kolejowy — zawalidroga na ul. 3 Maja. Obecnie, po likwidacji przejazdu, dla pieszych została wzniesiona kładka nad torami kolejowymi. Odcinek ul. 3 Maja od byłego przejazdu do ul. Bohaterów Warszawy otrzymał nazwę ulicy Majowej.

Na prawym brzegu rzeki, w pobliżu mostu kolejowego, na łące przy rzece stał przed I wojną światową jeszcze jeden budynek. Był to drewniany, parterowy budynek z dużą mansardą na górze. Mieszkali tam krewni mojej matki. Dom stał przy Czarnej Drodze i była w nim kawiarnia o wdzięcznej nazwie „Wenęcja”. Może dlatego przybrała taką nazwę, że bywała

okresowo zalewana przez wody Utraty, jak plac św. Marka w Wenecji przez przybierające okresowo wody Morza Adriatyckiego? Kawiarnia i cały dom przetrwały do I wojny światowej — później dom rozebrano.

Tam, gdzie stał kiedyś dom z kawiarnią „Wenecja”, w latach międzywojennych przy Czarnej Drodze był wylot kanału ściekowego. Kanałem tym płynęły ścieki z rejonu Papierni. Nie było tych ścieków dużo, tak, że zanieczyszczały Utratę minimalnie. Dziś wylotu tego kanału ściekowego już nie ma, ścieki nie płyną, a woda w Utracie jest przerażająco brudna od znajdujących się w niej zanieczyszczeń. Mamy obecnie w kraju wspaniałe ustawy o ochronie środowiska — zazdroszczą ich nam inne kraje. Tylko niestety — ustawy sobie, a życie sobie. Żadne, nawet najlepsze ustawy, nie uzdrowią sytuacji, gdy nie będzie dobrej woli człowieka w podejmowaniu zdecydowanych działań w zakresie ochrony środowiska.

Wybudowanie nowego wiaduktu na wysokiej skarpie nad torami PKP skutecznie zablokowało możliwość rozlewania się wód Utraty w czasie powodzi na przyległą łąkę. Łąka też uległa prawie likwidacji, zostały z niej małe skrawki. Przez łąkę poprowadzono szeroką szosę na podwyższonej skarpie. Od ul. Majowej prowadzi ku resztkę łąki mała uliczka o przerażającej nazwie Topiel. Zapewne nadano tej uliczce taką nazwę, bo prowadziła w dół do bagiennej topieli. Nie wiem, czy i na ile jest to prawdą, ale podobno kiedyś na końcu tej uliczki jakiś wozak wraz z dwoma końmi utopił się w bagnie. Jeśli jest to prawdą, to uliczka miała uzasadnioną nazwę. Bagienna topiel zginęła bezpowrotnie, ale uliczka Topiel została, może dla przypomnienia tamtych czasów?



Most EKD na Utracie w okresie międzywojennym

Foto. S. Hryniewicz

DO ANIELINA I DO BERSOHNNA

Osobnym tematem związanym z Utratą w rejonie miasta były zadrzewione tereny zwane Parkiem Anielin i Parkiem Bersohna.

Młodym mieszkańcom naszego miasta nazwa Anielin zapewne mówi tyle, że za Domem Kultury Kolarza, przy ul. Poprzecznej, znajduje się Ośrodek Sportowy TKKF „Anielin” z kortami tenisowymi, a określenie „Park Bersohna” zapewne z niczym się im nie kojarzy. Tylko starsi mieszkańcy naszego miasta, którzy zetknęli się z prawdziwym Anielinem lub Parkiem Bersohna, mogą coś na ten temat powiedzieć. Postaram się krótko scharakteryzować obiekty o tej nazwie.

Jak wcześniej wspomniałem, jeden z właścicieli dóbr majątku Pruszków — Jan Skwarcow — zadrzewił nieużytki i łąki bezpośrednio przylegające do Utraty na lewym jej brzegu od Pęcic do torów Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Działo się to w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Następny nabywca dóbr — Józef Epstein (od brata swego Jana Epsteina) w roku 1869 postanowił rozparcelować te dobra. Widocznie potrzebne były mu pieniądze na rozpoczętą budowę mrowanego pałacyku. W tym czasie, w wyniku uwłaszczenia chłopów i zmiany serwitutu (prawo wypasania bydła na łąkach dworskich z przyp. J.K.) ludność wsi Pruszków i nowo utworzonej wsi Józefów otrzymała z podziału na własność prawie 251 mórg ziemi, przy dworze zaś pozostało 439 mórg ziemi bardziej scalonej.

Parcelacja i sprzedaż ziemi dworskiej nastąpiła w latach 1872—74. Po parcelacji, jak wspomniałem wcześniej, pozostało przy folwarku zaledwie 146 mórg. Najwięcej ziemi zakupili włościanie z Pruszkowa i Józefowa, chociaż byli też nabywcy z innych miejscowości. Część ziemi nabyli też handlarze gruntami (16⁰/₀), przewidując dalszą koniunkturę dla tych terenów. Powierzchnia gruntów przeznaczonych na sprzedaż podzielona została na 33 części nazwane osadami kolonialnymi — po ok. 10 mórg każda. Tereny na południe od obecnej ul. Kościuszki, przeznaczone na te osady, były w formie pasów i ciągnęły się w stronę wsi Nowa Wieś. Nietypowy natomiast był teren w rejonie dzisiejszej ul. B. Prusa, Kościuszki, torów kolejowych i rzeki. Podzielony on był na dwie osady, które otrzymały początkowe numery tj. 1 i 2. Na terenie tym był ponadto wydzielony mały pasek ziemi należący do kuźni dworskiej, zlokalizowanej tam, gdzie dziś mieści się pawilon ZURT-u. Były też ogrody włościan, rozciągające się na terenie między dzisiejszą Al. Wojska Polskiego, ul. Kościuszki, Owocową i Poprzeczną.

Stąd teren ziemi pod sprzedaż nie miał równych kształtów, jak pozostałe osady.

Osada Nr. 1 obejmowała teren bezpośrednio nad rzeką, leżący w granicach dzisiejszych ulic: Prusa, Poprzecznej, Różanej i rzeki. Natomiast Osada Nr. 2 obejmowała pozostały teren, tj. położony obecnie między ulicami: Kościuszki, Owocową, Poprzeczną z klinem od ul. Różanej do torów kolejowych. Osadę Nr. 1 zwaną „Willa Anielin” nabył Marcei Zieliński — rejent Kancelarii Ziemiańskiej w Warszawie. Osadę Nr. 2 nabył Jan Bersohn — bankier warszawski. Zdecydowana większość terenów wspomnianych osad porośnięta była drzewami². Opowiadał mi mój dziadek, że w końcu XIX wieku przychodził do Anielina i do Parku Bersohna zbierać grzyby.

Stopniowa rozbudowa Pruszkowa związana z nasilającym się jego uprzemysłowieniem, spowodowała powolną parcelację Osady Nr. 2 czyli terenów Parku Bersohna i terenów zajętych przez ogrody włościańskie. Od ulicy Starowiejskiej (obecnej ul. Kościuszki) wytyczono nowe ulice i poczęto wznosić domy mieszkalne. W latach międzywojennych zachowała się jedynie reszta części Parku Bersohna przy torach kolejowych. Anielin zaś pozostał nie zabudowany, może dlatego, że miał zbyt podmokły grunt. Park Anielin był terenem prywatnym, choć nie ogrodzonym. Od lat był odwiedzany przez mieszkańców naszego miasta jako teren wypoczynku. Prasa miejska już w roku 1923 pisała o konieczności wykupienia tego terenu z przeznaczeniem go na park miejski³. Niebawem plany zostały zrealizowane i już w czerwcu 1924 r. Anielin został otwarty jako park i miejsce wypoczynku dla mieszkańców Pruszkowa⁴. Wkrótce stał się on bardzo uczęszczanym terenem przez pruszkowian. W zwykłe dni przychodziły tu matki z dziećmi, a w święta i niedziele odbywały się różne zabawy dla starszych. Regulacja Utraty na tym odcinku w latach 1924—26 pozwoliła na możliwość korzystania z tej wody w czasie takich zabaw. Choć Pruszków nie ma dostępu do morza, organizował nawet swoje Święto Morza, właśnie tu w Anielinie⁵. Bawiono się doskonale. Były też organizowane popularne zabawy z puszczaniem wianków na wodę, np. w roku 1938 zabawa ściągnęła do Anielina ponad 1500 osób dorosłych, nie licząc dzieci, a bawiącym się, jak zwykle przygrywała bardzo znana i lubiana orkiestra dęta Pruszkowskiej Straży Pożarnej⁶.

W Anielinie był też staw w kształcie litery „L”. Latem po stawie można było pływać łódkami, zimą zaś była tu ogólnodostępna ślizgawka. Gromady dzieci, młodzieży i starszych korzystały z tej bezpłatnej ślizgawki. Była też strzelnica i drewniana, kryta sala tańca, nic więc dziwnego, że park ten był

licznie nawiedzany przez mieszkańców Pruszkowa. Trzeba przyznać, że Anielin zawsze cieszył się sympatią pruszkowiaków. Ledwie Polska odzyskała niepodległość, a już w czerwcu 1919 r. z inicjatywy Straży Ogniowej zostały zorganizowane popularne wianki, które później weszły do stałego programu zabaw w Anielinie⁷.

Jak wspomniałem, wytyczenie ulic: Parkowej, Sobieskiego, Owocowej a później Różanej, pomniejszyło pierwotny teren Parku Bersohna, np. ul. Parkowa odgrodziła przy torach PKP oddzielny mały skrawek parku, zwany dalej przez wszystkich mieszkańców Parkiem Bersohna. Na tym terenie najczęściej różne przedsiębiorstwa rozrywkowe ustawiały swoje pomieszczenia i urządzenia do zabawy, a więc huśtawki, strzelnice, karuzele itp. Zawitała kiedyś „Ściana śmierci”, po której wewnątrz, na drewnianej, cylindrycznej ścianie jeździł odważny motocyklista, nawet z zawiązanymi oczyma.

Na tyłach Parku Bersohna (tego małego) była ogromna piwnica-lodownia, która latem spełniała rolę magazynu naturalnego lodu na potrzeby lokalnego przemysłu spożywczego. Lód ten wyrąbano pod koniec zimy ze stawów lub glinianek. Jadące ulicami miasta wozy z ogromnymi bryłami lodu do tych piwnic-lodowni, były symptomem, że wiosna tuż, tuż. Lodownię w Parku Bersohna zlikwidowano z chwilą dalszej rozbudowy ulicy Parkowej. Podobna lodownia była w Parku „Sokoła”. Jej górka po wojnie służyła zimą dzieciom do zjeżdżania na sankach lub butach. Najbardziej oblegana była jednak wysoka skarpa w Parku Bersohna przy Czarnej Drodze, gdzie zimą dzieci i młodzież gremialnie korzystały z tej stromej pochyłości. Ile było tam rozbitych nosów i stłuczonych kolan, wiedzą tylko ci, którzy w swej młodości zjeżdżali „na śledzia” na sankach lub po prostu na własnych butach. Ślizgawka ta wśród młodzieży nosiła nazwę „Diablica”. Mnie jako pamiątka po „Diablicy” pozostała do dziś złamana przegroda nosowa.

W czasach, kiedy żył mój dziadek, małeńka część Anielinu wydzielona była na cele produkcyjne przemysłu zbożowego. Mam tu na myśli młyn wodny, zlokalizowany przy moście obecnej ul. B. Prusa. Był to drewniany młyn, należący do dóbr majątku Pruszków. Nieliczne fragmenty tego młyna dotrwały do czasu mojej młodości. Oczywiście za moich czasów młyn już nie był czynny. Resztki pomieszczeń młyna wykorzystywał na swoje potrzeby bednarz, który w ten sposób podtrzymywał przemysłową enklawę w Anielinie. Bednarz ze swoją produkcją przetrwał do czasu likwidacji parku, tj. do lat sześćdziesiątych, kiedy przystąpiono do regulacji rzeki i zmieniono profil parku.

Likwidacja Anielina była koniecznością wynikłą z postępu-

jącej urbanizacji miasta. Wytyczono nową ulicę, która obecnie nazywa się Poprzeczna. Zasypano staw, wycięto prawie wszystkie drzewa, a sam teren podwyższono przy jednoczesnej regulacji rzeki. W ten sposób zmniejszono możliwość występowania wczesnowiosennych powodzi na tym terenie. W części wschodniej dawnego parku, tam, gdzie był staw, teren odpowiednio poprzecinano alejkami i przystosowano do spacerów. Ustawiono trochę ławek typu parkowego. W miejscu stawu znajduje się mały pomnik — kobieta niosąca małe dziecko na plecach. Według mnie pomniczek ten jest bardzo udany. Postać kobiety skierowana jest twarzą na południe, tak, jakby starała się ona odejść od śmierdzącej wody Utraty. Obok rośnie jedyne duże drzewo, kasztanowiec, będące pozostałością drzew w Anielinie.

Przez środek dawnego Anielina z północy na południe przebiega arteria ruchu kołowego tj. Aleja Wojska Polskiego. Jest to droga państwowa oznaczona na mapach samochodowych symbolem T-38. Z tego powodu na rzece wybudowano szeroki most, obsługujący tę arterię.

Zachodnia część terenów byłego Anielina przeznaczona została na teren zabaw i gier sportowych dzieci i młodzieży. Wyasfaltowano duże place jako boiska, tylko brak jest tych, którzy mogą z tych boisk korzystać. Dawny i niepowtarzalny charakter Anielina minął bezpowrotnie i tylko w pamięci najstarszych mieszkańców naszego miasta pozostanie, jako teren wesołych zabaw i swobodnego wypoczynku. Minie jeszcze jedno pokolenie pruszkowiaków i o Anielinie pamięć zapewne zaginie. Będzie można o nim poczytać w starych rocznikach „Echa Pruszkowskiego” lub „Głosu Pruszkowa” z okresu międzywojennego. Niestety, annały te dostępne są tylko dla nielicznych bibliofili.

Ach, gdzie są teraz te wesołe zabawy, te „wianki” i ta orkiestra dęta, co to porywała ludzi do tańca? Pozostały wspomnienia, których motto umieściłem na początku niniejszego opracowania. Dziś ludzie, moim zdaniem, nie umieją się cieszyć, bawić tak spontanicznie. Dziś społeczeństwo ma inne rozrywki i formy towarzyskich zabaw. Dziś wszechwładnie panuje Telewizja wypaczająca zupełnie styl naszego życia.

Pozostało też tylko wspomnienie po młynie wodnym, którego istnienia w tym miejscu nikt by się dziś nie domyślał. A tak naprawdę, to Utrata miała szczęście do młynów wodnych w rejonie Pruszkowa. Młyn w Komorowie, Pęcicach i Pruszkowie, to młyny, których lokalizacja była w granicach kilku kilometrów. O młynie nad Utratą pisał w jednym ze swych opowiadań Jarosław Iwaszkiewicz, tylko, że na podstawie tego opo-

wiadania nie można ustalić ścisłej lokalizacji wspomnianego młyna. Jarosław Iwaszkiewicz miał jakąś słabość do młynów w tytułach swych opowiadań. Oprócz „Młyna nad Utratą” jest jeszcze „Młyn nad Lutynią” i „Młyn nad Kamionną”.

Niemymi świadkami obecności młyna nad Utratą w Anieli nie są ogromne topole, których zaledwie cztery dotrwały do naszych czasów. Topole te ciągnęły się kiedyś szpalerem po obu stronach ul. B. Prusa w stronę ul. Kościuszki. Za mojej wczesnej młodości, było tych topoli dużo więcej. Czas jednak zrobił swoje, topole wypróchniały od środka i przy silnym wietrze waliły się na jezdnię ruchliwej ulicy, grożąc niebezpiecznymi wypadkami drogowymi. Władze miejskie wycięły większość niebezpiecznych topoli. Zostały tylko cztery, ale te, co zostały, trzymają się dobrze.

NIEBEZPIECZNE KĄPIELE I NAGUSY

Utrata wykazana na starej mapie sporządzonej przez Karola de Perthès jest bardzo kręta i w rzeczywistości taka była. Utrudniało to bieg rzeki i sprzyjało powodziom, trzeba było ją koniecznie uregulować, co też uczyniono. Widziałem sam stare zakola rzeki w parku Potulickich, przez które skakałem wracając z boiska sportowego. Wystarczy też przejść się na łąki za Elektrociepłownię, w stronę wsi Moszna, by zobaczyć ślady dawnych meandrów starego koryta rzeki. Do regulacji Utraty w rejonie Pruszkowa przystąpiono w roku 1924, uznając to zamierzenie za jedno z podstawowych zadań władz miasta. Prace trwały do roku 1926. Dokonując regulacji rzeki w pewnym stopniu zlikwidowano w pobliżu bagna. O konieczności osuszenia bagien w rejonie miasta pisała miejscowa prasa już w roku 1923⁸.

Nieregulowana rzeka z licznymi zakolami była w niektórych miejscach dosyć głęboka. Młodzi pruszkowianie wykorzystywali te zagłębienia do kąpieli, choć wiadomo, że takie zakola o nierównym dnie są bardzo zdradliwe dla kąpiących. Młody strażak, który w lipcu 1919 roku kapał się w Utracie w takim miejscu, utonął. Doniósł o tym wydarzeniu „Głos Pruszkowa” z tamtego okresu⁹. Jeden ze starszych mieszkańców Pruszkowa opowiadał mi, że najlepszym miejscem do kąpieli w Utracie był odcinek rzeki zaraz za mostem kolejowym PKP. Oczywiście było to przed regulacją, bo po jej regulacji warunki do dobrej kąpieli przestały istnieć.

W ostatnim czasie Tygodnik Społeczny „Veto” szeroko rozpisuje się o problemie naturystów w Polsce i kłopotach wynikających dla tych osób, które chcą się opalać nago. Są liczni zwolennicy takiego dążenia do natury, są też zaciekli przeciw-

nicy. Problem ten w Pruszkowie występował już kilkadziesiąt lat temu, ale władze miejskie w tych sprawach były czujne. W lipcu 1929 r. Magistrat wydał zarządzenie nakazujące, by kąpiący się i opalający nad Utratą używali kostiumów kąpielowych. Wszyscy, którzy nie zastosują się do tego zarządzenia i paradować będą na golasa, podlegać będą karze administracyjnej. Policja ma obowiązek kontrolowania terenów kąpieli, wyłapywania nagusów i spisywania protokołów w stosunku do osób, które nie chcą podporządkować się obowiązującemu zarządzeniu. Spisanie takiego protokołu narażało delikwenta na zapłacenie dosyć wysokiej kary pieniężnej¹⁰. Może łatwiej było wtedy o dobre bawełniane kąpielówki?

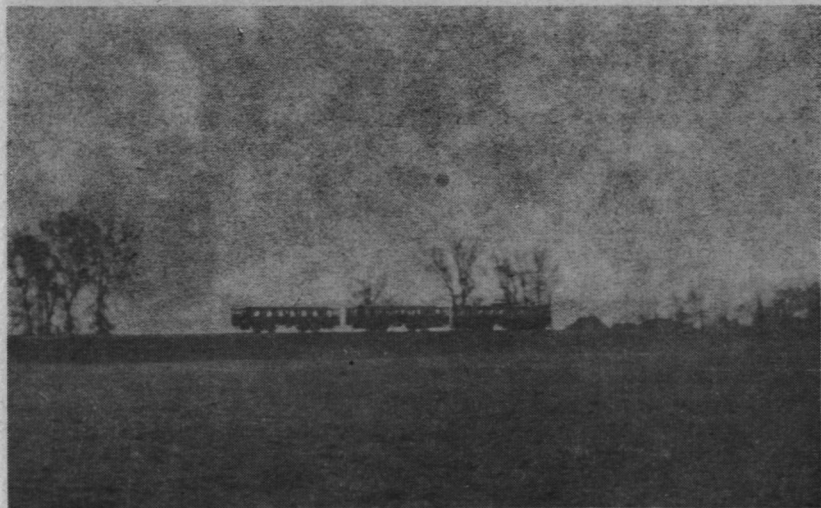
Mimo, że w Pruszkowie była Utrata i glinianki, władze miasta dostrzegły potrzebę wybudowania basenu kąpielowego, który spełniałby wymogi sanitarne i bezpieczeństwa kąpiących się. Sprawy te poruszała prasa miejscowa już w roku 1936. Oczywiście od planów do realizacji droga daleka, skromny budżet miasta przeznaczony był na ważniejsze potrzeby mieszkańców. W roku 1938 ponownie wysunięto propozycję budowy basenu kąpielowego w Pruszkowie¹¹. Ustalono też jego lokalizację. Basen miał być wybudowany w rejonie zbiegu ulic: 6. Sierpnia i 3. Maja. Dla wyjaśnienia młodym mieszkańcom podaję, że dawniejsza ulica 6. Sierpnia, to późniejsza ul. Stalingradzka a obecnie Bohaterów Warszawy. Budowy basenu nie zrealizowano. Obecnie przez proponowany dawniej teren budowy basenów kąpielowych z zapleczem rekreacyjno-sportowym przebiega Aleja Wojska Polskiego, będąca przedłużeniem biegnącej od dzielnicy Tworki — Alei Dwudziestolecia. Budowa basenu kąpielowego w Pruszkowie została zrealizowana dopiero po kilkadziesiąciu latach.

Odcinek rzeki za mostem PKP, który przed jej regulacją był najlepszym miejscem do kąpieli, pamiętam dobrze z innych zdarzeń. Otóż w latach międzywojennych (i jeszcze po wojnie) był w tamtym rejonie wylot dużego burzowca. Podobno burzowiec ten brał początek z terenu Warsztatów Kolejowych, a może i z dalszych miejsc? Jak wspomniałem, burzowiec był stosunkowo duży, a poziom wody w nim mały w okresach bezdeszczowych. Dlatego też kanał ten był terenem zabaw dla odważnych wyrostków. Jako starszy chłopak, wraz z innymi wchodziłem do tego kanału. Miarą odwagi było, kto dalej wejdzie w głąb burzowca. Moim szczytowym osiągnięciem było dojście na kilka metrów, dokąd jeszcze swobodnie dochodziło światło dzienne. Dziś już nie ma wylotu tego burzowca. Teren zajęła wysoka skarpa wiaduktu drogowego.

Takie to były dziecinne, aczkolwiek niebezpieczne zabawy z burzowcem. Za kilka lat kanały takie stały się jedynym ra-

tunkiem życia dla kilku tysięcy ludzi. Mam tu na myśli Powstanie Warszawskie w 1944 r., w czasie którego niezłomni obrońcy Starówki w chwili jej ostatecznej zakłady przeszli kanałami do Śródmieścia, ratując w ten sposób swoje życie.

Za mostem kolejowym PKP, na terenie rozciągającym się między rzeką i obecną skarpą wiaduktu była łąka, na której pracownicy Pruszkowskiej Elektrowni zorganizowali sobie po wyzwoleniu prowizoryczne boisko piłkarskie. Tam odbywały się treningi drużyny. Trenowałem wraz z nimi i grałem w piłkę nożną w czasie, kiedy pracowałem w tym zakładzie. Oczywiście, nie było to nadzwyczajne boisko, ot taka nierówna łąka, boisko miało jednak tę zaletę, że było bardzo blisko zakładu. Największym mankamentem była jego lokalizacja koło rzeki. Każde mocniejsze kopnięcie piłki w kierunku rzeki powodowało wpadanie jej do wody. Niefortunny strzelec musiał wchodzić w brudną wodę po pływającą piłkę, jeśli innymi sposobami nie udało się jej wyłowić. Wejście w brudną wodę było oczywiście bardzo nieprzyjemne, bo woda w Utracie posiadała już duży stopień zanieczyszczenia. W rzece wprawdzie było wiele nieczystości, ale było też wiele drużyn piłkarskich w Pruszkowie. Każdy szanujący się zakład musiał mieć swoją drużynę. Rozgrywane były liczne spartakiady międzyzakładowe i sport masowy rozwijał się, a przecież nie było w Prusz-



*Kolejka EKD w rejonie Pruszkowa, w głębi dachy zabudowań
Wyględówka*

Foto. S. Hryniewicz

kowie ani jednej sali gimnastycznej dobrze wyposażonej. Zawodnicy z drużyny obowiązkowo musieli pracować w macierzystym zakładzie. Nikt za granie nie otrzymywał pieniędzy a jednak sport masowy rozwijał się. Dziś, szczególnie w piłce nożnej, są profesjonaliści, którzy pobierają miesięcznie bardzo duże wynagrodzenie.

Koryto Utraty za mostem kolejowym w czasie ostatniej powojennej regulacji zostało przesunięte nieco ku północy, w ten sposób dawniejsza łączka zmniejszyła się a teren został zadrzewiony.

ELEKTROWNIA NA MIARĘ OKRĘGU

Wcześniej wymieniłem Elektrownię Pruszkowską — nie od rzeczy będzie coś więcej o niej powiedzieć, wszak leży nad samą Utratą. Elektrownia nosiła dawniej oficjalną nazwę: Elektrownia Okręgu Warszawskiego. Czuję zawsze sentyment do tego zakładu, bo tu w styczniu 1948 r. rozpocząłem swoją pierwszą w życiu pracę zawodową.

Na wstępie trochę wiadomości z początków elektroenergetyki na terenie Pruszkowa. Pierwsze instalacje elektryczne zakładano oczywiście w fabrykach działających na terenie Pruszkowa. Takie minielektrownie pracowały tylko na potrzeby własnych zakładów i produkowały energię głównie do celów oświetleniowych. O silnikach elektrycznych nie było jeszcze mowy, działały maszyny parowe. Ciekawe, że wytwarzaną energię elektryczną określano ilością punktów świetlnych tj. ilością żarówek. I tak np. w fabryce fajansu Jakuba Teichfelda, gdzie zainstalowano na terenie Pruszkowa pierwsze oświetlenie elektryczne jeszcze przed rokiem 1900 — świeciło nieco ponad 200 żarówek. Na początku XX wieku oświetlenie elektryczne działało w zakładzie chemicznym Żółtowskiego, gdzie zainstalowano 50 żarówek, a później w fabryce Konstrukcji Żelaznych Tillmanns i S-ka, gdzie w 1903 r. zainstalowanych było 130 żarówek.

Na własne instalacje mogły sobie pozwolić tylko zakłady pracy, natomiast domy mieszkalne mogły liczyć na energię elektryczną po wybudowaniu centralnej elektrowni dla potrzeb miasta. Dlatego w roku 1913 władze wiejskie Pruszkowa podjęły uchwałę zalecającą wybudowanie elektrowni i zelektryfikowanie wsi, bo w tym czasie Pruszków był oficjalnie jeszcze wsią.

Umowę o budowę elektrowni oraz sieci oświetlenia elektrycznego zawarto 24 listopada 1913 r. między pełnomocnikami wsi Pruszków tj. hr Antonim Potulickim, inż. Józefem Tro-

etzerem, Karolem Pijanowskim, Józefem Rzczyckim, Filipem Schmidtem i Tomaszem Zambrzyckim a inż. Aleksandrem Tyrmosem, działającym w imieniu niemieckiej firmy z Berlina.

Realizację zawartej umowy zapoczątkowano już w czasie I wojny światowej. Po wyzwoleniu koncern energetyczny „Siła i Światło” ze Śląska przejął cały majątek elektrowni za sumę 350 tys. marek niemieckich i utworzył spółkę akcyjną. Ministerstwo Skarbu wraz z Ministerstwem Przemysłu i Handlu w dniu 31 grudnia 1919 r. zatwierdziło statut nowej firmy pod nazwą „Elektrownia Okręgowa w Pruszkowie Spółka Akcyjna”. Postępująca inflacja w latach 1922—23 i brak funduszu na dokończenie rozpoczętej inwestycji zmusiło Spółkę do nawiązania kontaktu z brytyjską firmą energetyczną. Uzyskane w ten sposób kredyty pozwoliły na dokończenie budowy i uruchomienie elektrowni. Większość akcji elektrowni pruszkowskiej w ten sposób znalazła się w rękach obcego kapitału, np. w roku 1933 aż 65⁰/₀ akcji należało do kapitału angielskiego, a 18,4⁰/₀ do kapitału belgijskiego, co stanowiło łącznie 83,4⁰/₀ kapitału zakładowego w obcych rękach.

Budowa elektrowni okręgowej wymagała dłuższego czasu, dlatego w roku 1917 uruchomiono wstępnie maszynę parową o mocy 150 KM, poruszającą prądnicę o mocy 100 kW. Elektrownia dostarczała wówczas prąd dla 350 żarówek. Działania wojenne i warunki, będące ich następstwem, wydłużyły cykl budowy elektrowni w stosunku do pierwotnych założeń. Dopiero w sierpniu 1924 r. uruchomiono elektrownię o dużej mocy. W roku 1924, w momencie uruchamiania, Elektrownia Okręgowa miała dwie turbiny parowe poruszające prądnice o mocy 8500 kW. Moc ta w roku 1928 wzrosła do 31.500 kW, by osiągnąć docelowo 32.500 kW. W roku 1931 nastąpiła zmiana nazwy Spółki na: „Elektrownia Okręgu Warszawskiego — Spółka Akcyjna”, czym podkreślono terytorialny zakres działania przedsiębiorstwa.

Elektrownia pruszkowska położona w uprzemysłowionym rejonie podstołecznym miała zapewniony zbyt energii. Obsługiwała ona zróżnicowanych odbiorców. Najwięcej energii pochłaniał przemysł — przeszło 80⁰/₀. Od początku 1937 r., drugim wielkim odbiorcą stał się warszawski węzeł kolejowy — wtedy wprowadzono (15.XII.1936 r.) pociągi elektryczne na węzeł podmiejskim. Elektrownia pruszkowska zasilala w energię elektryczną duże zakłady przemysłowe usytuowane w Warszawie na Woli, a także dostarczała energii elektrycznej do radiostacji „Polskie Radio” w Raszynie. Władze spółki kładły też duży nacisk na pozyskanie drobnych odbiorców tj. gospodarstw

domowych. Dzięki temu szybko rosła ilość mieszkań przyłączonych do sieci elektrowni, osiągając w roku 1938 liczbę 29.641 mieszkań w rejonie.

Elektrownia pruszkowska odgrywała istotną rolę w okręgu warszawskim, a nawet w ogólnopolskich planach elektryfikacji kraju. W dalszej perspektywie, wobec planowanego zasilania Warszawy w energię z Rożnowa i ze Śląska, elektrownia pruszkowska miała zostać zredukowana do rozmiarów elektrowni lokalnej. Trzeba jednak przyjąć, że elektrownia pruszkowska w okresie międzywojennym spełniała pionierską rolę w unowocześnianiu infrastruktury Pruszkowa i rejonu podstołecznego¹².

W okresie okupacji niemieckiej elektrownia pracowała nieprzerwanie, dostarczając w zdecydowanej większości energię elektryczną na potrzeby przemysłu, dlatego też zdarzały się bardzo częste wypadki wyłączenia prądu do mieszkań prywatnych. Na początku stycznia 1945 r. okupant realizując hasło „spalonej ziemi” wprowadził na teren elektrowni techniczny oddział wojskowy, który zaminował najważniejsze obiekty zakładu. W najbardziej newralgicznych punktach elektrowni rozmieszczono 26 dużych bomb lotniczych oraz kilkanaście skrzynek z dynamitem. W dniu 16 stycznia w godzinach przedwieczornych, będąca w pełnym rozruchu elektrownia, została wysadzona w powietrze, a rankiem 17 stycznia Pruszków został wyzwolony przez oddziały wojska polskiego i radzieckiego.

W wyniku bestialskiego zniszczenia zakładu przez ustępujących z rejonu Pruszkowa Niemców, elektrownia poniosła bardzo dotkliwe straty. Według wstępnej oceny zniszczenia sięgały 90% zdolności produkcyjnej. Całkowicie legły w gruzach budynki wytwórni. Pozostały raczej nie naruszone pomieszczenia biurowe, magazyny i warsztaty transformatorowe. Obraz zrujnowanego zakładu był przygnębiający. Początkowo wydawało się, że zakładu tego nigdy się nie odbuduje, że na jego miejscu trzeba będzie wybudować nowy. Nie zawiodła jednak stara, wypróbowana załoga elektrowni, która już pierwszego dnia po wyzwoleniu stawiała się na miejsce, aby zabezpieczyć resztki ocalałego mienia. W dniu 19 stycznia, a więc w trzecim dniu wyzwolenia, powołano spośród pracowników Radę Zakładową (!). Na czele jej stanął znany działacz PPS na terenie Pruszkowa — Józef Ładno. Dzięki wspólnym wysiłkom, już 20 stycznia 1945 r. zdołano uruchomić maszynę parową w fabryce ołówków St. Majewskiego, w wyniku czego najważniejsze instytucje w mieście otrzymały oświetlenie. Było to olbrzymie osiągnięcie. Po kilku dniach Pruszków uzyskał więk-

szy dopływ prądu z cukrowni w Józefowie oraz z zakładów pracy w Żyrardowie.

Podjęcie odbudowy elektrowni pruszkowskiej było spontanicznym dziełem jej załogi. Nie czekano na decyzje władz centralnych, które uważały, że odbudowa tego zakładu jest niecelowa. Pod koniec 1945 r. pracowało w elektrowni około 500 osób, a w połowie 1946 r. około 700 osób. W pracach przy odbudowie zakładu pracowało dwóch moich stryjków, będących długoletnimi pracownikami zakładu oraz mój starszy brat. Nic więc dziwnego, że i moja pierwsza praca zawodowa zaczęła się w Elektrowni Pruszkowskiej. Kiedy przyszedłem tam do pracy, elektrownia tętniła już pełnym rytmem pracy, dając prąd do wszystkich mieszkań w Pruszkowie.

Pierwszy prąd z uruchomionego turbozespołu o mocy 8 MW popłynął już 18 grudnia 1946 r. Następny turbozespół uruchomiono w dniu 22 lipca 1947 r., dalszy zaś w początkach maja 1949 r. Odbudowę zakładu zakończono w roku 1953, wtedy to elektrownia osiągnęła swą maksymalną moc 38 MW (megawatów).

Na zakończenie, dla całości historii tego zakładu, jeszcze kilka słów o bohaterskiej załodze Elektrowni Okręgu Warszawskiego. W czasie okupacji niemieckiej dyrekcja zakładu świadomie zwiększyła stan zatrudnienia z 220 do 700 osób, dzięki temu uchroniono dużą liczbę specjalistów i dobrych fachowców od wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy, gdyż pracownicy elektrowni posiadali specjalne legitymacje zwalniające w tzw. „łapankach”. Na terenie biura Elektrowni w Warszawie przy placu Napoleona (obecnie plac Powstańców Warszawy — przyp. J.K.) odbywały się konspiracyjne zebrania ludzi związanych z elektryfikacją kraju. W samej zaś elektrowni zorganizowano Oddział Wojskowej Ochrony Przemysłu, który wchodził w skład Armii Krajowej. W nocy z 1 na 2 sierpnia 1944 r. część załogi podjęła walkę zbrojną na terenie zakładu w ramach powstania, które miało objąć cały Pruszków. Akcja powstańcza ograniczyła się tylko do terenu elektrowni, powstanie nie objęło dalszych części miasta. W początkowej fazie nieliczna straż niemiecka opuściła w nocy teren elektrowni, ale w kilka godzin później oddziały Wehrmachtu opanowały zakład. Tylko dzięki bohaterskiej ofiarności i poświęceniu pracownika — Konrada Kurca, który przyjął na siebie całą winę za zbrojne działanie, uniknięto masakry personelu wytwórni. Konrad Kurc został rozstrzelany. Ponadto na terenie miasta rozstrzelano pracownika elektrowni — Andrzeja Straszewskiego, syna długoletniego dyrektora zarządzającego tym zakładem — inż. Kazimierza Straszewskiego (od 1920 do 1946).

W wyniku terroru okupanta w latach 1939—45 zginęło 24 pracowników zakładu. W niszy muru okalającego zakład od strony ul. Waryńskiego, umieszczona jest tablica z wyrytymi nazwiskami pracowników elektrowni, którzy polegli w obronie Ojczyzny lub zostali zamordowani przez okupanta.

Przed tablicą leżą zawsze świeże kwiaty, jako symbol pamięci żyjących dla poległych, a w różne uroczystości kościelne i państwowe palą się znicze nagrobne. Elektrownia Okręgu Warszawskiego zapisała się więc chlubnie na kartach historii naszego miasta.

Pracę w Elektrowni Pruszkowskiej rozpocząłem w Dziale Licznikowym w charakterze pomocy laboranta, a pierwszym moim bezpośrednim przełożonym był wspaniały człowiek — Wojciech Szurmiński, który na zawsze zapisał się w mojej pamięci. Był wspaniałym przełożonym — wyrozumiały, tolerancyjny, a jednocześnie potrafiący przekazać wiele wiadomości zawodowych, nauczyć prawdziwego podejścia do pracy, pełnego do niej szacunku i umiejętnego obcowania ze współpracownikami. Był moim autorytetem i takim pozostał do końca.

W Elektrowni wstąpiłem w szeregi OM TUR, której Koło liczyło bardzo wielu członków. Była to moja pierwsza edukacja pracy i działalności społeczno-politycznej.

Dziś Elektrownia Pruszkowska straciła swój dawny charakter pracy, nie wytwarza energii elektrycznej na potrzeby miasta. Stała się elektrociepłownią, która wytwarza parę technologiczną na potrzeby zakładów przemysłowych naszego miasta, i gorącą wodę do ogrzewania naszych mieszkań w okresie zimy. Dzięki niej korzystamy też przez 11 miesięcy z ciepłej wody w kranach.

Wspominając korzyści, jakie czerpiemy z pracy elektrociepłowni, nie można jednak pominąć faktu, że zakład ten na terenie Pruszkowa najwięcej zanieczyszcza atmosferę i środowisko naszego miasta. Związki dwutlenku siarki, pyły węglowe w ogromnej ilości ze spalonego węgla kamiennego, wyrzucane w górę przez niskie kominy, są zmurą naszego miasta. Zapewne w przyszłości warunki te poprawi Elektrociepłownia Pruszków II budowana obecnie na rozległych terenach między wsiami: Moszna i Koszajec. Podobno komin przyszłej elektrociepłowni będzie miał 300 m wysokości. Rozniesie więc na dalsze przestrzenie trujące związki siarki i pyły ze spalonego węgla.

XIII WIECZNY ŻBIKÓW I XX WIECZNA GNOJNA GÓRA

Utrata omijając od północy teren Elektrociepłowni Pruszków I bieg swój kieruje ku zachodowi i płynie równoległe do szerokiej Alei 1 Maja. Gdy stoi się na moście przy Elektrocie-

płowni i patrzy ku zachodowi, widzi się całą perspektywę rzeki, która na tym odcinku aż do wsi Moszna jest prosta. Jest to wynik ostatniej regulacji koryta rzeki. Dawniej, choć też regulowana, nie była tak prosta, jak obecnie. Ślady tamtego koryta można w niektórych miejscach odszukać na pobliskich łąkach. Dzisiejsze koryto rzeki jest najbardziej korzystne dla uniknięcia wiosennych powodzi. Każdy zakręt, każde zakole zmniejsza szybkość przepływu wody, daje okazję do podmywania brzegów, a tym samym zwiększa niebezpieczeństwo powodzi. Oczywiście, taka prosta rzeka utraciła bardzo wiele ze swego naturalnego wyglądu. Każda rzeka jest ściśle związana z terenem, po którym płynie, bo najczęściej sama kształtowała kiedyś jego rzeźbę. Każda zmiana jej pierwszego koryta dokonana ręką ludzką, zuboża rzekę, prowadzi do likwidacji jej piękna.

Patrząc na obecną Utratę w tym miejscu, widzi się idealnie równy kanał wodny, niczym melioracyjny, w którym niezbyt szybko płynie brudna i cuchnąca woda. Utrata utraciła na zawsze w tym miejscu swój dawny wygląd małej rzeczki, w miarę krętej, z pochylonymi nad nią starymi drzewami i krzewami. Po prostu jest to duży ściek wodny. W tym wypadku słowo „utrata” jest adekwatne do nazwy rzeki. Nastąpiła na zawsze utrata jej uroku. Taka już pozostanie po wsze czasy, chyba, że przyjdzie jakaś nowa epoka lodowa i zmieni istniejący stan rzeczy.

Po lewej stronie rzeki, za ostatnimi domami z ul. Królowej Jadwigi i ul. Inżynierskiej, zaczynają się rozległe łąki. Na prawym zaś brzegu między szeroką Aleją 1 Maja i rzeką, na wąskim pasku ziemi, rozciąga się Pracowniczy Ogród Działkowy o wdzięcznej nazwie „Perła”. Ogród liczy 151 działek i znajduje się na terenie dzielnicy Żbików. Lokalizacja tego Ogródu w/g mnie jest nieszczęśliwa. Spaliny z wielu przejeżdżających szosą samochodów zatruwają czteroetylkim ołowiu miejscową atmosferę. Z drugiej zaś strony śmierdząca woda Utraty też jest sąsiadem nie do pozazdroszczenia. Jak więc w takich warunkach wypoczywać po pracy? Woda Utraty staje się czasami groźna. Kilka lat temu, w czasie wiosennej powodzi, przybór wody w rzece był wyższy, niż otaczające wały ochronne. Woda zalała cały teren działek na wys. do pół metra. Poczyniła znaczne szkody w altankach. Latem działkowcy z „Perły” mogą spodziewać się jeszcze śmierdzącego dymu z niedalekiego wysypiska śmieci, w którym zawarte odpadki organiczne dostają samozapłonu i przy słabym dostępie powietrza tlą się i dymią. Dlatego też POD „Perła” nie powinien mieć takiej nazwy, jaką ma, lepszym określeniem dla tego terenu mogłoby być

„Zadymiony” lub „Zasmrodzony”. Tak poważnie, to uważam, że zlokalizowanie tam Ogrodu Pracowniczego mija się z celem, w takich warunkach ludzie po pracy zawodowej nie wypoczną należycie.

Koło 200 m za POD „Perła” wpada do Utraty ostatni naturalny ciek wodny w rejonie Pruszkowa, zasilając swą wodą rzekę. Jest to rzeczka Żbikówka, przepływająca w końcowym biegu przez teren dawnego folwarku oznaczonego na starych lub dokładniejszych mapach jako Folwark Żbików. Sama rzeczka jest bardzo niepozorna, trudna do dostrzeżenia, nawet gdy jedzie się Aleją 1 Maja, pod którą płynie ta rzeczka. Nie ma mostu, jest po prostu duży betonowy kanał, którym jej woda przepływa pod jezdnią. Cała rzeczka zarośnięta jest zielskiem i wysokimi trawami. Mimo takiego kamuflażu, można dostrzec, że woda w niej płynie, choć trudno nazwać, czy to jest woda. Zastanowił mnie inny fakt, gdy stałem na „umownym” moście nad jej nurtem. Nie ma tam barierek zabezpieczających, aby przygodni przechodnie nie wpadli do rzeczki. Jest to bardzo duże przeoczenie. Najwyższy czas, by zaniedbanie z zakresu zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom na niebezpiecznej drodze było usunięte poprzez zainstalowanie odpowiednich barier.

Wracam jednak do tematu samej rzeczki. Wypływa ona spod miejscowości Gołąbki i płynie przez Konotopę, Bąki, Żbików. Tutaj opływa łukiem żbikowski kościół na wzgórzu. Kiedyś zasilala swą wodą stawy rybne przy kościele. Dziś stawów nie ma, zostały zasypane, a samo koryto rzeczki uregulowane. Gdyby nawet stawy były, to by nie było w nich ryb, woda rzeczki skutecznie by je wytruła. Rzeczka ta, jak i inne podobne, została wykorzystana jako kanał ściekowy nieczystości przemysłowych i miejskich z terenów, przez które przepływa.

W górnym swym biegu rzeczka zwie się Konotopa, bo przepływa przez tę wieś. W rejonie Pruszkowa nazywa się Żbikówka, bo płynie przez Żbików. Ogólna jej długość wynosi ok. 6 km. Latem roku 1937 władze miejskie Pruszkowa wyasygnowały kwotę 22 tys. złotych na prace związane z jej oczyszczeniem w granicach miasta. Praca wykonywana była przez ludzi, którzy w tym czasie zarejestrowani byli jako bezrobotni i skorzystali z nadarżającej się okazji, by zarobić¹³.

Idąc lub jadąc dawniejszą główną ulicą Żbikowa tj. ul. 3. Maja w kierunku zachodnim, widzi się z daleka wysoką sylwetkę kościoła o jednej strzelistej wieży. Kościół jest pięknie usytuowany — na małym wzniesieniu, nad bagienną doliną Utraty. Jest to kościół parafialny tej dzielnicy. Trochę więcej historii o dzielnicy Żbików i jej kościele.

Żbików jest najstarszą miejscowością wchodzącą w skład dzi-

siejszego Pruszkowa. Poświadczony został już w dokumencie z roku 1231, stwierdzającym własność Żbikowa na rzecz biskupstwa poznańskiego. Wieś Żbików wymienia z roku 1297 przywilej Bolesława II dla jej właściciela tj. biskupa poznańskiego. Wiadomo też, że dobra biskupstwa poznańskiego były w tej okolicy znacznie starsze, niż pierwsza o nich wzmianka, dlatego istnienie parafii w Żbikowie w początkach XIII wieku jest wiarygodne¹⁴. Przez Żbików już w XII wieku przebiegał szlak drogowy, który ciągnął się od Płocka poprzez Wyszogród, Sochaczew, Błonie, Żbików, Nadarzyn, Grójec do Czerska. Szlak ten oprócz roli handlowej i gospodarczej pełnił również funkcje związane z administrowaniem terenami księstwa mazowieckiego. Używany był też przez biskupów poznańskich podczas wizytacji dóbr kościelnych na terenie diecezji. Biskupi zatrzymywali się często we dworze żbikowskim, mającym postać zamczku obronnego z wałami i fosami.

Gdy ośrodki książęcego Mazowsza w Płocku i Czersku straciły znaczenie na rzecz rozwijającej się Warszawy, zaczęły kształtować się nowe szlaki komunikacyjne. I znów Żbików znalazł się na trasie jednego z takich szlaków. Był to szlak z Warszawy do Grodziska Mazowieckiego i Błonia. Gościniec ten wiódł z Warszawy poprzez Bronisze, Konotopę, Bąki, Żbików. Tu była stacja dyliżansów. Dalej trakt pocztowo-komunikacyjny biegł prawdopodobnie po obecnej ul. Domaniewskiej w kierunku wsi Moszna. W tym miejscu przecinał największy pas podmokłej doliny Utraty i podążał wyniosłymi terenami w kierunku Brwinowa.

Warto zwrócić uwagę, że wieś i rzeczka Konotopa (Żbikówka) wywodziły się od tego, że w porach deszczowych gościniec na tym odcinku stawał się grząski i woźnice dyliżansów mieli trudności z jego przebyciem. Po prostu konie topiły się w bagnie i stąd pierwotna nazwa Koniotopa, a później Konotopa.

Wybudowanie w roku 1845 pierwszego odcinka Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej do Grodziska Mazowieckiego zrewolucjonizowało komunikację XIX wieku na tym odcinku. Wieś Żbików pozostała na peryferiach głównej drogi, zaś niewielka wioska, pozostająca dotychczas w ciągu całych stuleci na uboczu szlaków komunikacyjnych, zaczęła odgrywać pierwszoplanową rolę. Był tu od Warszawy pierwszy przystanek kolejowy. Wioska ta — to dzisiejszy Pruszków¹⁵.

Dynamicznie rozwijający się w Pruszkowie przemysł spowodował powstanie nowej, robotniczej osady Żbikówek, która wraz ze wsią Żbików weszła później w skład terytorialny nowo utworzonego miasta Pruszkowa.

Parafia w Żbikowie została erygowana w 1236 roku przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Wincentego z Czarnkowa. Pier-

wszy kościół w Żbikowie był drewniany. Z czasem uległ on zniszczeniu. Kolejny kościół, już murowany, zbudowany w stylu gotyckim, pochodził z końca XV lub początków XVI wieku. Kościół ten był kilkakrotnie gruntownie remontowany i przebudowany. Było to konieczne z uwagi na dwa jego pożary. Również zawieruchy wojenne XVII i XVIII wieku pozostawiły na nim niszczące ślady. W czasie oblężenia Warszawy w roku 1794 przez wojska pruskie i rosyjskie, kościół żbikowski został ograbiony przez żołnierzy pruskich i zamieniony na magazyn zbożowy. Odremontowany kościół przetrwał jeszcze długie lata i był czynny do I wojny światowej.

W latach 1906—11 staraniem ks. Józefa Szczuckiego, proboszcza parafii żbikowskiej, obok wspomnianego starego kościoła, został zbudowany nowy kościół w stylu neogotyckim, wg. projektu arch. Henryka Juliana Gaya. Kościół jest pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Stary kościół gotycki został rozebrany w latach 1915—16.

Barokowy ołtarz główny w obecnym kościele jest stosunkowo nowy. Wykonany został w latach II wojny światowej, natomiast obraz w tym ołtarzu, przedstawiający Najświętszą Maryję Pannę Dobrej Śmierci, pochodzi prawdopodobnie z końca XV wieku. Przez wiele lat obraz ten znajdował się w Warszawie w kościele seminaryjnym. Dzięki staraniom proboszcza Żbikowskiej parafii, ks. Franciszka Dyżewskiego, obraz został ofiarowany dla Żbikowa przez arcybiskupa Stanisława Galla. Obraz został uroczyście przewieziony z Warszawy do żbikowskiego kościoła w dniu 10 sierpnia 1940 roku i umieszczony w ołtarzu głównym. Obraz zasłaniany jest innym obrazem olejnym, przedstawiającym św. Rocha, a odsłaniany jest w czasie głównych nabożeństw i uroczystości kościelnych. Ten drugi obraz pochodzi z 2 połowy XIX wieku i prawdopodobnie namalowany został przez Wojciecha Gersona. Złocene barokowe figury z ołtarza głównego, przedstawiają św. Andrzeja Apostoła i św. Małgorzatę a są wykonane z drzewa modrzewiowego. Również dwa uskrzydłone duże anioły wykonane są z drzewa modrzewiowego. Wszystkie te figury stanowią pozostałość poprzedniego XVI wiecznego kościoła. Zostały one wykonane i umieszczone w tamtym kościele w I połowie XVIII wieku.

Nowy kościół został konsekrowany w dniu 19.VI.1963 roku przez ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego — Prymasa Polski¹⁶.

Tak pokrótce przedstawiają się dzieje najstarszej dzielnicy Pruszkowa z jej kościołem parafialnym. Jeszcze tylko jedno wspomnienie związane z tym kościołem. W dniu 21 sierpnia 1980 roku nad Pruszkowem przeszedł huragan o niespotykanej sile. W godzinach popołudniowych niespodziewanie od zachodu

nadciągnęły ciemne chmury. Zrobiło się szaro i nad Pruszkowem rozszalał się huragan. Siła wiatru była tak wielka, że zniszczyła kilka murowanych domów mieszkalnych na terenie Żbikowa. Huragan nie ominął kościoła. Skutki jego okazały się tragiczne dla tego obiektu sakralnego. Olbrzymi strzelisty hełm wieży złamał się przy nasadzie jak zapalka. Spadając na ziemię zniszczył część poszycia dachu kościoła. Zniszczona została duża część dachówki. W przeprowadzonym w następnych latach remoncie kościoła całą dachówkę zmieniono na blachę miedzianą. Nowy strzelisty hełm ze stalową już konstrukcją, ustawiony został na wieży wiosną 1984 r. Było to przed samymi świętami Wielkiej Nocy.

Na przeciwnym brzegu Utraty w stosunku do dzielnicy Żbików rozciągają się duże bagniste łąki. Można tu dostrzec kręte załamania terenu, porośnięte krzakami, trzcinami, tatarakiem i ostrą bagienną trawą. Są to ślady meandrów dawnego koryta Utraty. Jak wspomniałem, obecna rzeka na odcinku od mostu na ul. Waryńskiego aż do samej wsi Moszna jest uregulowana i prosta. Wysokie obwałowania po jej obu brzegach zabezpieczają przed wiosennymi powodziąmi.

Patrząc od rzeki na rozległą łąkę w kierunku zachodnim, dostrzega się w oddali jakąś górę równo ściętą u wierzchołka. Gdy zbliżymy się do niej, stwierdzamy, że jest to gigantyczne wysypisko miejskich śmieci. Na jego wierzchołku, jak ogromne brzęczące żuki lub dziecinne zabawki, przesuwiają się pracowicie duże spychacze, rozgarniające bez przerwy przywożone wywrotkami śmiecie. Wysypisko systematycznie powiększa się. Nad całą tą gigantyczną górą śmieci kołuje tysiące czarnych gawronów i wron, jak w znanym filmie Alfreda Hitchcocka — „Ptaki”. Swym okropnym, przejmującym krakaniem sprawiają niesamowite wrażenie na osobach, które tej scenerii przyglądają się z pewnej odległości. Zjawisko to widziałem późną jesienią 1984 r. Kołującym stadom gawronów i wron towarzyszyły wcale nie mniejsze ilości wrzaskliwych szaro-białych mew. Pracujące na górze spychacze raz po raz płoszyły siadające na wysypisku ptaki. Te podrywały się w górę, kołowały jakiś czas, by za chwilę usiąść w innym miejscu wysypiska.

Dla obejrzenia tylko samej tej scenerii warto późną jesienią zrobić nad brzegiem Utraty spacer do gnojnjej góry. Zapewne takiej ilości parków na tej górze w czasie wiosny i lata nie dostrzeże się. Przyznam się, że nigdy nie widziałem tylu nagromadzonych ptaków w jednym miejscu. Jeśli ilość wron i gawronów w czasie późnej jesieni nie jest specjalnym ewenementem, to zastanowiła mnie ogromna mnogość mew. Nie jestem ornitologiem, dlatego też nie wiem, jakie to były mewy. Z książki Jana Sokołowskiego „Ptaki Polski” wyczytałem, że

mogą to być mewy pospolite lub mewy srebrzyste. Jedno jest pewne, że wszystkie te ptaki ściągnęła możliwość zdobycia pożywienia w okresie jesienno-zimowym. Ciekawi mnie natomiast, gdzie zimują zwłaszcza mewy?

— Gnojna góra, czyli wysypisko miejskich śmieci, wysokie na kilkanaście pięter, jest uciążliwa dla miasta z racji swego położenia na krańcach zachodnich. Wiadomo, że w Polsce wiatry wieją w okresie letnim głównie z kierunku zachodniego, a w tym czasie góra ta dymi śmierdzącym dymem, jak jakiś dzwiczny wulkan. Dym ściela się gęstą zasłoną i dociera do zachodnich części miasta (vide — POD „Perła”). Przyjęta przeze mnie nazwa — gnojna góra — zwana oficjalnie wysypiskiem miejskim, a w potocznym języku kierowców — zwałką, jest dymiącym wrzodem miasta, jako wytwór postępującej aglomeracji i urbanizacji.

WODA PRAWIE ŹRÓDLANA

Jak na ironię, po przeciwnej stronie rzeki, zaraz za cmentarzem grzebalnym parafii żbikowskiej, zostało zbudowane przedsiębiorstwo mające na celu utrzymanie czystości naturalnego środowiska. Jest to oczyszczalnia ścieków. Oficjalnie oczyszczalnia nosi nazwę: Zakład Wodociągów i Kanalizacji w Pruszkowie. Jest to bardzo ważne przedsiębiorstwo dla dobra miasta i środowiska. Tutaj skupiają się ogromne kolektory doprowadzające ścieki miejskie i przemysłowe. Zakład jest oczyszczalnią ścieków dla Pruszkowa, Piastowa, Ursusa i Ożarowa. Zasięg terenowy tego przedsiębiorstwa jest bardzo duży, tym bardziej, że są to miejscowości silnie zurbanizowane z licznie zamieszkałą ludnością.

Pod koniec 1984 r. miałem możliwość przeprowadzenia rozmowy telefonicznej z dyrektorem tego przedsiębiorstwa, podał mi wiele szczegółów techniczno-organizacyjnych z działalności przedsiębiorstwa. Oto one: Zakład posiada oczyszczalnię ścieków mechaniczną i biologiczną. W pierwszym etapie uruchomiono oczyszczalnię mechaniczną w styczniu 1969 r., następnie oczyszczalnię biologiczną w 1971 r. Zdolność oczyszczania ścieków po wprowadzeniu obydwu oczyszczalni — 25 tysięcy metrów sześciennych na dobę. Drugi etap rozbudowy oczyszczalni ukończono w czerwcu 1984 r., co pozwoliło na to, że Zakład może oczyszczać ścieki w ilości ok. 38 tys. metrów sześciennych na dobę. W końcu roku 1984 zakład oczyszczał ok. 37 tys. m³. Rozbudowa dalszych osiedli w obsługiwanych miastach stale się zwiększa, a więc konieczna jest dalsza rozbudowa oczyszczalni, gdyż będzie się systematycznie zwiększała ilość ścieków. Jeśli chodzi o ścieki przemysłowe z terenu Pruszkowa,

dotąd tylko Zakłady Materiałów Biurowych nie są jeszcze podłączone do sieci kanalizacyjnej oczyszczalni na ul. Domaniewskiej. Z chwilą przyłączenia tego zakładu do centralnej oczyszczalni ścieków — Pruszków będzie chyba jednym z nielicznych wyjątków w Polsce, w którym 100⁰/₀ zakładów przemysłowych miasta będzie przyłączone do centralnej oczyszczalni.

Planowanie trzeciego etapu rozbudowy zakładu rozpoczęto 3 lata temu. Plany rozbudowy przewidują zwiększenie mocy przerobowej oczyszczalni o 56 tys. m³ ścieków na dobę. Powstały jednak trudności w realizacji tego planu, ponieważ brak jest odpowiednich terenów dla przedsiębiorstwa. Aby plan ten mógł być zrealizowany, należałoby wyburzyć 36 budynków mieszkalnych i gospodarskich oraz przejąć wiele hektarów ziemi uprawnej. Całość sprowadza się do tego, że ludziom z wywłaszczonych terenów należy dać nowe mieszkania i nowe tereny pod uprawę, co w chwili obecnej jest trudne do zrealizowania.

Odpady, będące wynikiem działalności zakładu w czasie jego pracy, są odpadami lagunowymi, czyli osiadają w specjalnych basenach tworząc osady. Osady te po około 5 latach wybiera się w poszczególnych basenów. Nie nadają się one do użytkowania przez rolnictwo jako nawóz, ponieważ zawierają duży procent tlenków metali ciężkich. Gdyby osady te zużyć do nawożenia ziemi w rolnictwie, metale weszłyby do roślin uprawnych tj. do ich bulw korzeniowych i stałyby się szkodliwe dla organizmów ludzkich i zwierzęcych po spożyciu. Osady te są wykorzystywane jako kompost na nowo tworzone trawniki i skarpy dróg publicznych. Ponadto używa się je na pokrywanie istniejących hałd żużla z elektrociepłowni, celem szybszego zazielenienia tych hałd.

W uzupełnieniu dyrektor przedsiębiorstwa wyjaśnił, że Szpital w Tworkach podłączony jest do ogólnego kolektora ścieków kierowanych do centralnej oczyszczalni i nie zrzuca już swoich nieczystości bezpośrednio do Utraty, którą zanieczyszczają najbardziej: 1) rzeka Raszynka, zbierająca ścieki z Okęcia; 2) strumyk z rejonu Michałowic i Reguł, zbierający ścieki z rejonu Piastowa Południowego; 3) strumyk z rejonu Konotopy i Bąków.

Oczyszczalnia nie ma wpływu na czystość wody już będącej w Utracie, zanieczyszczonej uprzednio wszelkiego rodzaju ściekami.

W końcu listopada 1984 r. zrobiłem mały rekonesans, podglądając teren oczyszczalni od strony rzeki. Na początku rzuca się w oczy kanał wylotowy z oczyszczalni, którym szybko płynie woda do rzeki. Jest to woda pochodząca ze ścieków oczyszczonych mechanicznie i biologicznie w oczyszczalni. Na

oko trudno powiedzieć, czy woda ta jest już czysta i nadawałaby się do konsumpcji, ma bowiem kolor zielonkawo-sinawy, jednak w porównaniu do wody będącej w rzece jest wyraźna różnica czystości. Ktoś mi kiedyś mówił, że woda z takiej oczyszczalni ma 98% czystej wody, a więc prawie woda źródłana. Czy rzeczywiście tak jest, wie tylko laboratorium oczyszczalni, które na bieżąco bada stopień czystości odpływającej wody z terenu oczyszczalni.

Woda z kanału, łącząc się z wodą rzeki, tworzy ogromne kożuchy białej piany, które powoli spływają dalej nurtem rzeki. Po kilkuset metrach piana na wodzie ginie samoistnie. Widać, z tego, że czysta woda „zgrzyła” się już z brudną wodą Utraty.

W czasie przeprowadzonego rekonesansu zobaczyłem niecodzienne zjawisko z ptakami, podobne do tego przy wysypisku śmieci, tj. bardzo dużo ptaków zgromadzonych w jednym miejscu. Otóż na powierzchni wody dwóch basenów oczyszczalni i na grobli odgradzającej od siebie owe baseny, pływało i siedziało kilka tysięcy biało-szarych mew. Było ich tak dużo, że cała powierzchnia grobli i wody w basenach sprawiała, jakby była przysypana grubo śniegiem. Skąd się wzięło w tym miejscu tyle tych ptaków i czy odlatują na zimę z tego terenu na to nie potrafię sobie odpowiedzieć. Tak liczne stado mew widziałem jeszcze tego samego dnia na terenach przeznaczonych pod budowę Elektrociepłowni Pruszków II przy ul. Promyka. Na ogromnym podmokłym terenie zaoranej ziemi siedziały ich tysiące. Teren ten też był biały od nich i do złudzenia przypominał leżący na polu śnieg.

W życiu bym nie przypuszczał, że w ciągu jednego dnia w rejonie Pruszkowa zobaczą kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy tych zgrabnych białych ptaków, które z taką miękkością i takim wdziękiem, a zarazem szybko poruszają się w locie. Dla utrwalenia tego zjawiska należałoby zrobić kolorowe zdjęcie. Może ktoś z pruszkowskich ornitologów zainteresuje się tymi ptakami i da jakiś artykuł wyjaśniający to zdarzenie w naszej prasie miejscowej. Chętnie bym taki artykuł przeczytał.

UTRATA NA CENZUROWANYM

Naszą Utratą zajmują się nie tylko ludzie zamieszkujący nad tą rzeką. Przytoczę wypowiedzi różnych osób, zamieszczone w poczytnych czasopismach stołecznych.

Witold Gościński w artykule swym pt. „Udużona rzeka” zamieszczonym w „Słowie Powszechnym” m.in. pisze tak: „Nad Utratą mieszkają jeszcze ludzie, którzy pamiętają, że była to rzeka, że żyły w niej ryby. Ale to było dawno. Wiadomo —

ryby głosu nie mają. Dziś jest to martwy ściek, który jest smutnym przykładem stanu, w jakim znajduje się większość naszych rzek. Problemy związane z rekultywacją Utraty są problemami ogólnokrajowymi, i dlatego warte są omówienia.

Problemem rekultywacji rzeki Utraty zajmował się prof. dr hab. Stanisław Włodek z Instytutu Inżynierii Środowiska PW. Oto cytat z opracowania: „Zaistniał wielki konflikt między rozwojem gospodarczym a funkcjonowaniem ekosystemu rzeki Utraty. Konflikt ten będzie się stale pogłębiał. Godzi on nie tylko w rzekę Utratę. Nie przywrócenie czystości i piękna tej rzeki jest głównym celem zabiegów rekultywacyjnych. Celem głównym jest poprawa warunków życia i zdrowia ludności, oraz funkcjonowania zakładów przemysłowych. Jak osiągnąć ten cel? Zahamowanie rozwoju gospodarczego regionu nie wchodzi w grę. Przeciwnie. Region ma być wzbogacony o dalsze zakłady przemysłowe, nastąpi wzrost miast i osiedli, a zatem zwiększy się zapotrzebowanie na czystą wodę i zwiększy się ilość ścieków. Aby móc uczynić ze zlewni rzeki Utraty krajobraz (zbiór ekosystemów) w pełni sterowany, należy: stworzyć warunki prawne, ekonomiczne i techniczne, zapewniające możliwość rekultywacji, stałego sterowania krajobrazem, utworzyć organizację, której celem byłyby zabiegi rekultywacyjne (np. spółka wodna) i wykonać szereg prac badawczych, projektowych, wdrożeniowych i kontrolnych”. Tyle z artykułu Witolda Gościńskiego.

Jeszcze gorzej o Utracie pisze IBIS w artykule zamieszczonym w „Życiu Warszawy”. Jego zainteresowanie wiąże się z Utratą przepływającą przez Żelazową Wolę. Przytaczam fragment tego artykułu: „Nic nowego, a jednak coraz gorzej. Utrata przepływająca przez park w Żelazowej Woli śmierdzi coraz bardziej. Nie wiem, czy zwrot „coraz bardziej” ma tu w ogóle jakieś znaczenie, gdyż stężenie odoru przekroczyło już granicę zdolności rejestracyjnych nosa ludzkiego, podobnie jak stopień zanieczyszczenia Utraty przekroczył wszelkie normy określające klasę czystości wody. Rzeka jest ściekiem... Nic nowego, to prawda, a jednak zbliża się Rok Chopinowski, trwają przygotowania do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego — a jest to przecież jeden z najpoważniejszych konkursów na świecie. Znowu Polska stanie się obiektem zainteresowania gości zagranicznych, którzy będą chcieli zobaczyć miejsce urodzenia Chopina. Co im można odpowiedzieć: prosimy zatykać nosy? Niedzielne koncerty odbywają się w gęstym fetorze od rzeki. Miejscową knajpę okupują miejscowi piwosze. Jest straszno i smrodliwie... Dziesięć lat temu opracowano plan rekultywacji Utraty. Jej wodę zatruwają ścieki z 34 zakładów przemysłowych i z 7 miast. Zatruwają również chemikalia rolnicze.

Już wtedy ponad połowa tego, co płynęło Utratą, pochodziła ze ścieków przemysłowych i miejskich, a w większości były to ścieki nie oczyszczone. Przewidywano, że w skutek rozwoju przemysłu ilość wód ściekowych wzrośnie trzykrotnie do 1985 roku — przy czym istniał już wtedy skrupulatnie opracowany program budowy oczyszczalni i wprowadzenia innych zabiegów ochronnych, które miały doprowadzić do oczyszczenia Utraty... Stan dzisiejszy wskazuje na to, że z ówczesnych przewidywań sprawdził się jedynie rozwój przemysłowy. Utratą płynie istna gnojówka. Powstaje pytanie, co robić, żeby uniknąć za rok międzynarodowego skandalu? Alternatywa jest taka: albo przenieść Żelazową Wolę, albo przesunąć gdzieś dalej Utratę. Pierwsza propozycja jest nonsensem. Zupełnie serio rozważa się jednak projekt wykopania nowego koryta rzeki w ten sposób, by Utrata omijała łukiem Żelazową Wolę. Stare koryto odgródzone groblami, ma się napełnić wodą ze studni głębinowej... Jest to propozycja wręcz rozpaczliwa. Rzeczka Potiomkowska: tego jeszcze nie było! Jeśli się jednak tego nie zrobi, publiczność koncertowa i turyści zwiedzający park będą się nadal dusić w smrodzie, oglądając tę swoistą wizytówkę kultu Fryderyka Chopina... Boję się, że z chwilą zrealizowania tego desperackiego projektu, sprawa rekultywacji Utraty przesunie się ad kalendas graecas, czyli w nieskończoność, bo rzeka przestanie śmierdzieć w jednym miejscu, a będzie śmierdzieć kilometr dalej. Cóż, daleko nam do Anglików, którzy zdołali tak skutecznie oczyścić Tamizę, że żyją w niej pstrągi. W Utracie pojawiły się ostatnio płotki. Jest takie miejsce, w którym do rzeki wpływa czysta woda z jakiegoś ujścia ciepłowni, czy innego zakładu. Marzy mi się jednak, by zobaczyć w rejonie tej rzeki jakieś „grubsze ryby”, gdyż z doświadczenia wiem, że nic tak nie ożywia płotek, jak widok okazałego szczupaka”.

O tych rybach w obecnej Utracie pisał „Express Wieczorny” w sierpniu 1984 r. z okazji zakończenia drugiego etapu rozbudowy oczyszczalni ścieków w Pruszkowie w czerwcu 1984 r. o czym ja wspominałem wcześniej. Oto fragment tego artykułu: „Dotyczy to wody spływającej do rzeki w wyniku oczyszczenia ścieków. W ciągu doby 35 do 36 tys. metrów sześciennych ścieków oczyszczonych w przeszło 90 procentach spływa do Utraty. W rejonie tego zrzutu pojawiły się ryby, od lat tu nie widziane. Oczywiście o pełnej poprawie wód w całej Utracie można będzie mówić dopiero za kilka lat, gdy przestaną spływać do niej ścieki rozlicznych trucicieli rozlokowanych w pobliżu tej rzeczki i jej dopływów. W każdym razie zrobiono pierwszy istotny krok w tym kierunku. Pruszkowski system kanalizacyjny obsługuje blisko 150 tysięcy ludności i wiele

zakładów przemysłowych. Pasma pruszkowskie szybko urbanizuje się. W samym tylko Pruszkowie w przyszłej 5-latec powinno przybyć prawie 4 tys. mieszkań, w Ożarowie — 350, w Piastowie ponad 900, jak również w szybko rozbudowywanym Ursusie, tak w części mieszkalnej jak i przemysłowej. Następny etap rozbudowy pruszkowskiej oczyszczalni powinien szybko zakończyć się, bo jak uczy doświadczenie, takie budowy ciągną się latami”.

Mam jednak poważne obiekcje, czy Utrata przyszłości będzie miała taką czystą wodę, jak Utrata w dawnych latach? Czystość polskich rzek pogarsza się z roku na rok. Jeszcze w 1967 roku 36,6 procent polskich rzek można było zaliczyć do I klasy czystości. W roku 1982 wskaźnik ten zmalał do 9 procent (!). Równocześnie zwiększyła się, i to znacznie, liczba wód tzw. pozaklasowych, a więc nie nadających się do wykorzystania w gospodarce (jak nasza Utrata).

Coraz większy udział w skażeniu wód mają tzw. zanieczyszczenia przestrzenne, wprowadzane do rzek z dużych powierzchni gruntów rolnych, wynikłych z intensywnego nawożenia mineralnego i stosowania środków chemicznej ochrony roślin. Narastający deficyt wód czystych, nadających się dla ujęć wodociągowych, stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia społeczeństwa, a w konsekwencji zagraża rozwojowi cywilizacji. Bez zdrowego człowieka zapotrzebowanie na wodę w przemyśle, rolnictwie, gospodarce komunalnej, rekreacji itp. staje się bezzasadne. Dostarczenie więc społeczeństwu wody o odpowiedniej jakości i w odpowiedniej ilości stanowi priorytetowy problem społeczno-gospodarczy.

Tradycyjnie w dniach 1—7 kwietnia obchodzimy Międzynarodowy Tydzień Ochrony Czystości Wód. W roku 1985 obchodziliśmy go już po raz dziewiętnasty. Zakrawa to na parodię, gdyż stan czystości naszych wód w ostatnich latach zamiast poprawić się, gwałtownie się pogorszył. Perspektywy na przyszłość są coraz ciemniejsze, tak jak coraz to ciemniejsze są wody naszych rzek (vide — nasza Utrata!). Czy wybrniemy z tego zaklętego koła, czy przyjdą nam z pomocą siły nadziemskie? Warto w tym miejscu zacytować fragment z książki Romana Brandstaettera pt. „Inne kwiatki św. Franciszka z Asyżu”¹⁷. Oto on:

„Pochwalony bądź, Panie mój, przez siostrę wodę, która jest bardzo pożyteczna i pokorna i cenna i czysta — śpiewał siedem wieków temu św. Franciszek. A dziś zapewne modliłby się tymi słowami: „Siedzę Panie, nad brzegiem mojej rzeki Topino i płaczę. Moja siostra rzeka była zawsze żywa i piękna, i nietykalna, a dzisiaj jest cuchnącym bagnem. Panie! Wszystkie rzeki na całej ziemi są gnojówkami! Po ich powierzchni płyną białe gęste kozuchy trującej piany. Jadowite ścieki

fabryk spływają do mórz, rzek, jezior, które już dawno przestały być przeźroczyste i czyste. Nie odbijają w sobie nieba, ani obłoków, ani gór. Ryby wymierają. Więdną drzewa i krzewy rosnące nad brzegami śmiertelnych wód. Panie, mamy coraz mniej wody. Co zrobimy bez wody? Panie, nie karz człowieka dla jego głupoty. On nie wie co czyni. Panie, jeżeli tak dalej pójdzie, wkrótce będę Cię błagał, abys wino przemienił w wodę. Chyba zamienisz, Panie. Nieprawdaż?"

Może to będzie jedyny ratunek dla nas, jeśli nie zmienimy naszej niefrasobliwości w świadomym zatrucaniu wody, której potrzebujemy dla naszego życia. Jesteśmy naprawdę niefrasobliwi i mało zaradni w obronie przyrody, jej piękna i naszej przyszłości. Jeśli stwierdzenie: „Jakoś tam będzie” ma być naszą dewizą dla przyszłości, to przyszłość z pewnością doprowadzi nas do zagłady.

Jeszcze raz zastanówmy się nad naszą Utratą, która jest dla nas zbiornikiem najbliższym sercu. Czy uratujemy ją od zagłady ekologicznej? Dla przypomnienia aktualnego stanu jej wody podaję, że Utrata w chwili obecnej nie mieści się w żadnej klasie czystości, np. III klasa czystości — to wody nadające się do wykorzystania w rolnictwie, nawadnianiu upraw rolnych itp., natomiast wyższa — II klasa czystości, to wody nadające się do hodowli ryb (oprócz łososiowatych!), rekreacji wodnej itp. Dla hodowli ryb łososiowatych (pstrągi, łososie itp.) potrzebna jest woda posiadająca I klasę czystości.

Przy sposobności podaję wyjaśnienie, że dla utrzymania III klasy czystości wody, ładunek zanieczyszczeń wpuszczanych do rzeki w ciągu doby nie może przekraczać 500 kg BZT. BZT — to skrót określenia „biochemiczne zapotrzebowanie tlenu”. W końcu roku 1983 Utrata odbierała 13 tysięcy kg BZT na dobę! Oznacza to, że naszej rzece brakuje dziennie 13 tys. kg tlenu, aby móc „spalić” wrzucone zanieczyszczenia. Z tego właśnie powodu mówi się o Utracie — uduszona rzeką.

Największymi trucicielami naszej rzeki są zakłady przemysłowe, a wśród nich wyróżniają się: grodziska „Polfa”, „Ursus”, cukrownia „Józefów” w Józefowie i cukrownia „Michałów” w Lesznie. Z zakładów tych pochodzi prawie 70 procent zanieczyszczeń rzeki.

NA RATUNEK

Rzeki nie znają granic, a więc zarządzanie gospodarką wodną rzek nie powinno odbywać się w układach administracyjnych. Gospodarzem powinien być taki organ, który dbałby o racjonalne wykorzystanie wód całej zlewni rzeki. Nasza Utrata płynie przez dwa województwa: warszawskie i skierniewickie. Dla ratowania jej postanowiono więc założyć „Spółkę

wodną". Za wzór miało przyjąć istniejącą od 13 lat spółkę wodną typu przemysłowego „Warta” w Częstochowie. Spółka ta przechodziła różne koleje losu, jednak przetrwała do dziś.

Idea spółek wodnych nie jest nowa. Jako pierwsi wykorzystali ten system w praktyce Niemcy na przełomie XIX i XX wieku. Dziś jest to rozwiązanie powszechnie stosowane w krajach uprzemysłowionych, które najbardziej odczuwają skutki postępującej degradacji środowiska.

W dniu 29 czerwca 1983 r. w Brwinowie doszło do narady w sprawie utworzenia spółki wodnej dotyczącej Utraty. Na naradę zostali zaproszeni przedstawiciele 60 największych zakładów pracy, które mają największe „osiągnięcia” w zanieczyszczaniu rzeki. Przybyło około 40 przedstawicieli, inni sprawę bardzo poważną potraktowali niepoważnie. Dwutygodnik „Głos Pruszkowa” z kwietnia 1984 r. (Nr. 7/34) w artykule „Spółka Wodna Utrata” przedstawił istniejący tzn. fatalny stan czystości rzeki z pewnymi widokami poprawy na przyszłość, jeśli powstanie Spółka Wodna „Utrata” i będzie ona energicznie działać. Z inicjatywy Oddziału Warszawskiego Towarzystwa PAX powołano Komitet Założycielski Spółki Wodnej „Utrata”, na czele którego stanął Henryk Szczap — z Grodzkich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa” oraz Stanisław Nawara z Urzędu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który jest autorem opracowań założeń Spółki. Komitet Założycielski określił, co mogłaby zrobić Spółka dla uatowania czystości Utraty. Należy więc przeprowadzić rekultywację rzeki i jej dopływów tj. oczyścić Utratę i jej dopływy z osadów dennych, usunąć wierzchnie warstwy ziemi z dna i brzegów rzek nasyconych szkodliwymi zanieczyszczeniami oraz przeprowadzić regulację odcinków rzeki i dopływów poniżej punktu zrzutu ścieków. Zadaniem Spółki byłoby też zajęcie się budową zaplanowanych i niezrealizowanych oczyszczalni ścieków, budowa zakładowych oczyszczalni i remont już istniejących.

Jak widzimy, jedyna nadzieja uratowania naszej Utraty leży w Spółce Wodnej. Oby wszystkie zakłady przemysłowe zanieczyszczające zlewisko Utraty podjęły wreszcie wspólne i zdecydowane działanie w celu właściwej rekultywacji rzeki. Niech wystarczy siły na zamiary Spółki, aby przyszłe pokolenia nie wspominały nas klątwą, ale uznaniem za rozsądne działanie. Czy mamy być gorsi od Anglików? Chyba nie, tym bardziej, że Utrata to nie Tamiza. Należy więc złączyć cały wysiłek wszystkich zainteresowanych tą sprawą, by Utrata odzyskała dawniejszą czystość wody, urok i godną rolę rzeki naszego regionu. Niech nazwa rzeki będzie zaprzeczeniem tego, co kiedyś miała i utraciła, by wszystko powróciło z minionej, dobrej przeszłości. Niech znowu będą w niej ryby, raki a nawet żaby.

Niech w czystej wodzie znów będzie odbijać się lazur nieba i białe obłoki po nim sunące, niech na nowo odbija się pejzaż mazowieckich pól i lasów.

Na tym pobożnym życzeniu kończę swoje wspomnienia o Utracie w okolicach Pruszkowa, o tym, jaka była i jaka jest. Zdaję sobie sprawę, że tematy tu przeze mnie poruszane zawierają wiele luk i nieściśłości, może nie zawsze odpowiadają prawdzie. Pisałem swoje wspomnienia w dobrej wierze, opierając się na zdarzeniach utrwalonych w mojej pamięci, na przekazach ludzi postronnych, z którymi się zetknąłem i rozmawiałem oraz na źródłach pisanych, jakimi dysponowałem. Zdaję sobie sprawę, że mogą to być materiały niekompletne. Czerpanie wiadomości z różnych, nawet wiarygodnych źródeł, może niekiedy okazać się zgubne, np. w najnowszym Słowniku Etymologicznym Miast i Gmin PRL — wyd. im. Ossolińskich z 1984 r., podane jest, że dawne miasto Nadarzyn leży nad rzeką Utratą. I jak tu przytaczać dane źródłowe z tak poważnych publikacji?

Mam życzenie, aby moje skromne opracowanie stało się zachętą do badań dla historyków, którzy rozszerzą temat poruszony przeze mnie, wykażą i poprawią moje błędy faktograficzne, uzupełnią materiałami źródłowymi. W ten sposób uchronimy wiele zdarzeń, nieistniejących już obiektów a także osób z nimi związanych — od zapomnienia, z korzyścią dla przyszłych pokoleń pruszkowian.

J.K.

PRZYPISY

¹ Alina Gryciuk — „Miasto Pruszków w latach 1918—1939” — „Dzieje Pruszkowa” str. 197 Wyd. Książka i Wiedza 1983.

² Bolesław Mielczarek — „Szkice z dziejów Pruszkowa” — Rocznik Pruszkowski 1978. str. 41—58 Wyd. Pruszkowskie Tow. Kulturalno Naukowe.

³ „Echo Pruszkowskie” — Nr 2 z 30.05.1923 i Nr 6 z 18.05.1924.

⁴ „Echo Pruszkowskie” — Nr 8 z 15.06.1924.

⁵ „Głos Pruszkowa” — Nr 7 z 15.07.1934.

⁶ „Głos Pruszkowa” — Nr 9—10 z 10.07.1938.

⁷ „Głos Pruszkowa” — Nr 7 z 20.07.1919.

⁸ „Echo Pruszkowskie” — Nr 14 z 9.12.1923.

⁹ „Głos Pruszkowa” — Nr 7 z 20.07. 1919.

¹⁰ „Echo Pruszkowskie” — Nr 16 z 8.09.1929.

¹¹ „Głos Pruszkowa” — Nr 3 z 6.03.1938.

¹² Józef Piłatowicz — „Elektrownia Pruszkowska w latach 1913 — 1939” — „Dzieje Pruszkowa” — str. 96—114. Wyd. Książka i Wiedza 1983.

¹³ „Głos Pruszkowa” — Nr 12 z 4.07.1937.

¹⁴ Aleksander Gieysztor — „Wiejska przeszłość Pruszkowa i jego okolic w średniowieczu i w dobie nowożytnej” — „Dzieje Pruszkowa” — str. 30—33 Wyd. Książka i Wiedza 1983.

¹⁵ Waldemar Andrysiewicz — „Komunikacyjne szlaki” — „Mówi Pruszków” — wrzesień 1973. str. 17—19.

¹⁶ Jerzy Krzyczkowski — „Kościoły Dekanatu Pruszkowskiego” — Wyd. parafialne — Pruszków 1978.

¹⁷ Roman Brandstaetter — „Inne kwiatki św. Franciszka z Asyżu” — str. 162 Wyd. Instytut Wydawniczy PAX 1976.

Od Redakcji

Materiał powyższy jako III część całości „Utrato, ty moja Utrato” napisany został na początku 1985 r. W międzyczasie zaszło sporo zmian, których autor nie był w stanie nanieść do swojego opracowania, np. powstanie Spółki Wodnej „Utrata” lub wybudowanie nowego mostu betonowego na rzece w linii przedłużenia ulicy Żbikowskiej i Jana Kowalskiego.

Za brak aktualnego stanu rzeczy związanego tematycznie z rzeką Utratą w Rejonie Pruszkowa Redakcja przeprasza P.T. Czytelników.